

OKOLICA POETÓW

M I E S I Ę C Z N I K



OKŁADKĘ N-RU 20 WYKONAŁ JAN WRONIECKI
ZNAK WYDAWNICZY — ARTUR MARYA SWINARSKI

exas: 13996 / 2 / 11

OKOLICA POETÓW

MIESIĘCZNIK

R. II. — NR. 11 (20)

15 LISTOPADA 1936.



WŁODZIMIERZ PIETRZAK: JAK POWSTAJE WIERSZ
KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA: AWANS
STANISŁAW PIĘTAK: PROCESJA
CZESŁAW JANCZARSKI: POCAŁUNEK W LESIE
MARIAN PIECHAL: WIERSZ O ZATRACIE
JERZY PIETRKIEWICZ: POETA WIEJSKI
STANISŁAW BĄKOWSKI: MROK W TATRACH
JÓZEF ANDRZEJ FRASIK: ELEGIE
ALEKSANDER JANTA POŁCZYŃSKI: BILANS
FRANCISZEK SURÓWKA: WIDOK Z GÓRY GRAJOWA
BOGDAN ZAKRZEWSKI: Z SIOSTRAMI W OGRODZIE
JAN BOLESŁAW OZÓG: WSPOMNIENIE
JAN KOPROWSKI: BUKOLIKA
EWA STEINHARDT: O TWÓRCZOŚCI RILKEGO
MIECZYŚLAW JASTRUN: PRZEKŁADY Z RILKEGO
RECENZJE
NOTY



TOMU TRZECIEGO ZESZYT DRUGI

REDAKCJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. POPRZECZNA 2

W201 197 713

JAK POWSTAJE WIERSZ?

XI.

Wiersz — to wybuch spontaniczny drzemlącej mocy, uśpionej tajemnicy. Poza światem fizycznym, dostrzegalnym — leży przestrzeń czarna i niezbadana, przestrzeń ś w i a d o m o ś c i. Przechodzimy przez nią, dotknęci zimnem, pełni lęku i obcości; powracamy chętnie do ciepłych siedlisk, które opuściliśmy na krótko. Lękamy się zimna, obawiamy się starcia. Im dalej w głąb zaniosą nas śmiałe kroki, tym opór „przestrzeni czarnej” jest prężniejszy, groźniejszy, tym go trudniej pokonać. Utwór artystyczny — to zdobycz, wyniesiona po walce z oporem, po walce ze sobą. Ta trudna walka daje jednocześnie rozkosz — odrębną rozkosz władania mozołem i rozkosz zwycięstwa. Ona odświeża poetom zmęczone wargi.

Każdy wiersz powinien być odkryciem, zbudzeniem siły, która śpi. Ma ją budzić, by dla wszystkich ludzi żyła odtąd na jawie. Myślę, że sztuka, że liryzm — nie powtarza niczego, co jest dostrzegalne za dnia wszystkim oczom. Ambicje poetów — podejrzewam — są wyższe. Wiersz jest rozpętanem fali muzycznej, którą napętlony jest każdy załom psychiki poetyckiej. Ale w wierszu nie o muzykę chodzi, o słowo, o dynamikę jego poetyckiego znaczenia. Poezja — ta, która odkrywa — każdą frazę słowną wymierza istnieniu sprawiedliwość. Nazywa istnienie, a te nazwy są jak wyroki. Poezja nie unika ognia, sama jest jak sandał z płomienia. Unika tylko nieprawdy sentymentalnej, zachwycenia próżnią, zachwycenia słowem pustym. Bo wiersz — to nie są słowa, słowa — zebrane w piękny hufiec srebrnej konnicy. Jest wiersz narzędziem mistycznym sprostania boskości, wyniesienia się nad świat fizyczny — narzędziem rządzenia. Rządy spływają ku ustom, podpalonym poezją, przez ś w i a d o m o ś ć, przez dar widzenia natężonego i silniejszego, przez dar wywoływania zjaw, wobec których głucho milczy aktualna rzeczywistość. Bo poezja wolna jest od skrępowań, jakie wszelkim gestom człowieka narzuca czas, niezaspokojony w mijaniu, nieubłaganie fatalny. Poezja omija czas: potrafi być wieczna.

Poezja: o niej wiemy niewiele, możemy tylko przeczuwać. Wiersz powstaje z mgławicy, ale prawie zawsze schwytać można moment jego narodzin: kiedy się zbliża niewyładowany niepokój, kiedy się kłębi chaos, złożony ze strzępów — chyba fugi muzycznej. Potem słychać pierwsze słowa, próbują się ułożyć, zbliżyć do siebie, rozumieć się wzajemnie, znaczyć. Wiersz się zaczyna z uczucia. Ze skłócenia, z poczucia nierównowagi: przynosi wyzwolenie, ratuje. Wiersze rodzą się z życia wzmożonego, natężonego. Co nie znaczy, aby każdy okres napięć, dlabelnie niszczących i mocnych, miał przedłużać się wierszem. Nie wiem dlaczego niekiedy wierszy nie ma, dlaczego rozsypują się, nikną? Czasem wiersz wyrasta po odległym czasie, wzbogacony później przybyłymi myślami, spostrzeżeniami. Pisane wierszy — to wybuchy nurtów podziemnych, to wulkanizm. Ale te wiersze które szybko rosną, których czas od momentu zalążkowego nie oddzieliła, są — dla mnie — trochę ubogie, prymitywne; notują chwilę, jest w nich może wyraz dokładny, lecz brak rozległości spojrzenia. Rozległość spojrze-

nia? — to jest pełność, szerokość widoku, perspektywa: jakby się patrzyło ze wzniesienia, skąd widać wszystkie strony.

Wiersz powstaje z niedokładnej wizji. Widać, dokąd dąży, widać jego skryty nurt; odczuwa się przyszły jego klimat. Potem przychodzi moment pisania, proces uwyraźnienia, uzmysłowienia wizji. Słowa przychodzą naręczami. Nie znaczą nigdy nic dosłownego, mają zbliżyć, ściągnąć ku ziemi wizję — wizję, która ostatecznie jest marzeniem. Dopiero, gdy wiersz jest napisany — dostrzec można ile, jak bardzo, różni się od wizji, z której wybiegł. Zespół słowny wygląda teraz jako niedokładny, zawodny instrument: nie idzie za zamiarem, za sugestią poetycką. Taka ocena w znacznej części byłaby nieprawdziwa: nie uwzględniałaby momentu niezwykle ważnego. W sprawę pisania wkraczają, z inicjatywy tego co niespodziewane, zabłąkane przypomnienia, wspomnienia. Indywidualizują się z pośród masy spraw przeżytych i doświadczonych, wyłączają się z ogólnej ludzkiej sugesse. W ten sposób walczą i wkraczają do wiersza, łączą się z nim w sposób niezupełny, rozblają go na układ niejednorodnych płaszczyzn. W tytułowym wierszu zbioru „Prawo drapieżne” — część wstępna, gdzie występuje nieprzyjazne, druzgoczące prawo życia i ludzka samotność, zaciekła w dążeniu i walce, wąskim mostem spięta jest z dalszymi fazami wiersza, gdzie inny sens wysuwa się na czoło. Jednolitość uległa zniszczeniu, ale wiersz z trudem tylko może być czymś jednorodnym i jednolitym w tonie.

Rytm? Nie mogłem, nie mogę — mimo prób — poddać się bez reszty tradycyjnej metryce. Zjawiska, które przeczuwam, których dosięgam wyobraźnią — wydaje mi się — mają rytm nie przyzwalający na regularność metru, ulegają tylko prawu własnych nateżeń i napięć. Ten punkt domaga się aż teorii, nie tutaj na nią miejsce. Trzeba poczekać, niech przyjdą nowe doświadczenia. Nie znamy usprawiedliwień dokładnych i w miarę precyzyjnych faktu, że wyraz poetycki osiągnąć można bez podpory metrum. Ta nieznamość niczego nie przesądza.

* * *

Do rozmiarów hydry urasta problem niezrozumiałości wiersza. Skoro czytelnicy rozumieją tak niewiele, skoro pojmują to tylko, co już wiedzą na pamięć, może dla nich, doprawdy, pisać nie warto.

Chyba nie wszyscy są tymi, którzy nie rozumieją. Wtedy nie trzeba na pewno łamać pióra, choćby z daleka dla wielu wydawało się zimne.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

A W A N S

PRNU W. T. D.

Może kiedyś w górę się wylamie
ścieżka:
może kiedyś nad ogrodami
zamieszkać,
nad lipami, co się rdzawią
tu i tam po Warszawie,
ukryte za murem krętym,
przez dozorców na klucz zamknięte.

Może kiedyś wyjdę nad chmury
z cynobru
i poznam, że świat, widziany z góry,
jest dobry.
Że nad jaskółczanym szczebliotem,
nad kręgami nietoperzy,
lżej pachnie i piękniej migota,
niż — kiedy się go w dole przemierza.

Może kiedyś stanę cała srebrna,
dusza bez ciała,
i przekonam się, że więcej nie dbam
o com tak wielce dbała!
A jeśli się to zdarzy wiosną
i wysoko, wysoko górą,
może głową w niebiosa wrosnę
jak bez — w sklepienie muru.

STANISŁAW PIĘTAK

PROCESJA

Lipy się chylą i chorągwie — baldachim złoty
wypłynął jak statek, zawisł nad głowami.
W pokłonie maków ręce, słońca młoty
na nagłe barki Świętych spadają białymi myszkami.

Parno. Tłum stanął — na stopnie spiętrzone dymem
wszedł ksiądz, biały gołąb uniół się nad nim w oczu chmurze.
Uklękli ludzie, małe dzieci schyliły się kołem krzywem,
rzucając kwiatki, unosiły dłonie wzyź — motyle duże.

A powietrze — sieć z młakiego bursztynu nad drzewami,
rozłożył się nisko obóz barw jak w szerokim polu.
Dziewczęta, ścielec drożynę szeptu, — rzewnemi oczami,
śpiewają — w pochyleniu podobne do sennego kąkolu.
I cicho, na płot wskoczył kogut krwawopióry, lecz nagle
pod kasztanami przy kościele zatętniły podkowy
i siwe konie na wiatr rzucając wzburzone grzywy jak żagle,
przegalopowały — z nimi tuman złotopłowy.
Ach! niejeden popatrzył na drogę, zamyslił się długo.
Sam ksiądz wikary chrząknął i pot otarł niespokojnym ruchem,
wtedy gołębie opadły nad chorągwie srebrnosiną krużą
bowiem obłok wyszedł z boku, potoczył się skrzypiec uchem.

Skręcono w drzwi, dym leniwym pawiem wśród powietrza kwiatów
idzie — za nim w glorii dzwonków aniołowie pyłu.
Przez okienka małe cienie tęczy, łodygi szkarłatów
leca, w słupy światła ustawiając się za ludźmi z tyłu.
— Orate! już ksiądz uniósł monstrancję, tam w ciszy rozlana
na chórze pieśń zamilkła jak rzewne słowika wołanie.
Święty Sebastian padł pierwszy, a gdy tłum pochylił się na kolana,
paw dymu przemienił się w hostię i zastygł na złotawej oczu plamie.

CZESŁAW JANCZARSKI

POCŁUNEK W LESIE

Wtedy w lesie
przy pnlu sosnowym legł mój żółty ples,
motyle gubią pióra pawie.
Nie słyszę słów — odczepiam obłoki od szumu sosen
I myślę: płyniemy po niebieskim stawie,
wiatr do osik nas niesie.

Śmiech Twój drży na złotych szybkach wspomnień
i szept co ma słodki smak kulek agrestu
— różowy leśny owoc.

Główka jasna w lilowych skabiozach koło mnie.

Oczy masz otwarte szeroko:
śledzisz szept mój w trawach,
rozchyłasz uważnie, z namysłem każde źdźbło.
Szumiął nad nami przezroczysty staw,
a słowa jak nenufary — podobne obłokom.

Zaśnij — —
Potem podałaś mi pachnącą kulkę agrestu.
Na trawie zatrzepotał promyk jesiennej ważki.

MARIAN PIECHAL

WIERSZ O ZATRACIE

Obłoki, podniebne ogrody,
i wiatry, i w wiatrach tych liście,
i twarz ma, odbita przejrzysto
w strumieniu jesiennej pogody.

Za falą, za wiatrem, co wleje,
za którymś tam jeszcze obłokiem,
wytoczy się ziemia za dzieje
popchnięta ostatnim mym krokiem.

Bezdena, wleczysta zatrata!
Odwraca się pora jak karta,
tablica do czysta z barw lata
wiatrami jesieni wytarta...

I tylko przy ziemi się trzyma
mój uśmiech dawny nad potokiem
i ja na brzegu z chwiejnym krokiem
i płonka żytnia — ozimina.

JERZY PIETRKIEWICZ

POETA WIEJSKI

Autorowi poematu „Ziemia odpływa na zachód.

Budzik na stoliku.
Sekundy jak kroki.
To waria czasu.

Za oknem deszcz także cyka,
a śmierć tak cicho przechodził po wzroku,
ciepłem pleca się łasi.

O, mój smutny, kochany poeto —

Tramwaj wjedzie w ulicę Dobrą,
krwawiąc w kałużach.
Boli ta woda...

Miły Staszku, okna się chmurzą:
Szkoda.

Wkrótce skrzydelka latańi nadlecą,
będą o szyby trzepotać.

I wtedy wiersze.

Takie są najplerw chłodne jak moje dłonie —
Powiśle słowa fioletowe studzi,
ale nic to, bo zboża złote,
rozcina kartki wspomnień lśniąco cykanie świerszczy.

Staszku —
rytm Twój cwałuje na gnładym koniu,
rymy nachylają się ku sobie:
już pocałunki.

Ach, jakie to dziwne: nitkę błękitu snują lekko ważki,
szelest brzozy je zdmuchnie na papier.
Widzę: wiatr w lesie poplątał klerunki,
najśmglejszy rym go nie złapie.

Takie to ładne i takie ciepłe...

Niech tramwaje krwawią w kałużach!
Cóż Powiśla chłód? Słowa nie skrzepły!
Okno wierszy złotych nie zachmurzy...

A na moim stoliku
budzik wartę sprawuje. Wcłóż cyka.

STANISŁAW BĄKOWSKI

MROK W TATRACH

Córce mojej Bajce

Słodkie zimno od mądrych wierchów,
ciału, zwycięskiemu hartem,
nagrodo o smolnym zmierzchu!
W słońcu się twardą stopą
przepaści deptało skronie,
z głazami, złomami zmagają o szczyt;
w mroku, gdy człek dojścia syt,
czas spocząć.
Nocą nieodgadłe są czeluście skał;
kto naonczas pełza po ich zrabie,
ten się na łaskę śmierci zdał, —
o najmilejszy ziąbło,
plersz kojący z trudami zażył
wiercholuba, któremu
słońce przewodnikiem było.

Z A R N A

Czarna ziemia, czarna rola, czarny chleb,
twarde dłonie, mocne dłonie: nie puszcze, nie dam;
a tu echem zapłociami śpiewa cep,
a tu z kalenic z wronami zrywa się bieda;

a tu śpiewliwe rankiem młynki - żarna,
a tu krzywda na miedzy, wierzba krzywa —
a tu dni jednakże, trudne, czarne, —
słuchajcie,
słuchajcie:
piosenka kamienna, wrota skrzyplą, z sieni odplywa.

ELEGIA LIPOWA

Lipo rozłożysta
przekwitniesz.
Lipo lipowa, młoda i soczysta
z lipowym kwieciem, liściem —

nim ci jesienny wiatr zagra
a na małych pieszczalczkach wierzbowych dał,
pniom zaśpiewają sęktery
a potem łyżka lipowa na targ
i wodą studzienną pluszczące konewki, władra!

Lipo jesienna, lipowa siostrze,
najlepszą siostrę w tobie mam, —
tobie, lipie, za lipowe łyko dawne gram,
za lipowy kwiat zrywany do garnuszka.

Jakąbym z ciebie korzyść miał:
szum lipowy, wlszący nad drogą,
jaskółki czarne, bijące w srebrne rano, jak w okienko.

Śpiewa wiatr:
nie okryjesz się już czerwoną jesienną sukienką,
dni nas miną, zwyciężą, przemogą. —
Słuchajcie, słuchajcie:
piosenka druga, moja, dawna, lipowa. Elegia.

ALEKSANDER JANTA - POŁCZYŃSKI

B I L A N S

Noce nabite ciszą. Miazga mroku i gwiazd.
Schody myśli zegary idą tykotem lat.
A lata w snopy wiąże czas
I snopy odkłada rad.

Zgłuchną ostatnie ognie jak tętent młodych ciał.
Zawłstnem okiem chłonie wszystkie radości świat.
Staje nade mną, kusł i czeka niby kat
I wie jak mu się bronię, oddawszy się już raz —
I szydzi że mnie miał.

FRANCISZEK SURÓWKA

WIDOK Z GÓRY GRAJOWA

Rozwinęła się przestrzeń daleka, wysoka,
ogromny przestwór szklany
jak myśl, kłedy wleczności echa w drodze spotka
i przestanie nawrotem być ku sobie samej.

Biegnie wśród chmur fioletu, gdzie góry się piętrzą.
i wraca ku radosnej u stóp jej dolinie:
z wichrów, świateł, mgieł ręką
brzask rzuca leśnym łąkom i w pieśń własną płynie.

BOGDAN W. ZAKRZEWSKI

Z SIOSTRAMI W OGRODZIE

Siostry, mych ramion zgłętych uskrzydlenie!
W potrójnym rytmie czarnych stóp,
poszliśmy lekko, rwać kamienie,
różańcem wklęście.

Jak słowa z warg, podane jasnym brzmieniem
kwitły świeżością palce czerwonawe,
grabiące miękko — rozkopaną ziemię.

Siostry złożyły wąskie dłonie,
patrzają na błękit swych fartuchów.
Biorę ich ręce. — „Już koniec.”

JAN BOLESŁAW OŻÓG

WSPOMNIENIE

I było ziemiaków sadzenie niebezpieczne:
ten i ów motyczką pszonki kaleczył.
W trzasku motyk i w salwach kłękowały kartofle
i rzewnie plakały domy w skoblach.

Aż jeden z wieczorów z za nieboskłonu
w sady chłodne i przestronne
porywał mnie i wołał:
chodź na wiśnie, nachylę ci szypułek aniołów.

JAN KOPROWSKI

BUKOLIKA

Dzień powysysał energję.

Z rąk owiniętych spoczynkiem
Opadły żyły — sprężyny.
Wieczory: bosonogie dziewczynki
Z warkoczami jak leśne barwinki
Stroją skrzyпки
Strumieniem wąskim i gibkimi.

Lekko możemy oddychać
Kłębami szorstkiego dymu.

Mokre nogi z zanurzonych muraw
Odchodzą niedosiężnym błonem.
Mgła: na deszczu rozmokła kura,
Łasi powracające konie —
Rżące, pierchliwe,
O wartko rozwłanych grzywach.

Biegnę. Oczami mrużę
Mijając zarosły smużek.

Chata.
W progu wielomówna baba.
Narzeka:
Mój syn dziś ustał przy grablach,
Nie będzie człowiekiem.

O TWÓRCZOŚCI RILKEGO

W świecie, stworzonym przez Rilkego, na szczycie stworzenia stoją rzeczy. Za nimi dopiero idą zwierzęta, kaleki, żebracy i wszyscy ci, którzy są niezdolni do walki o byt, albo się jej wyrzekli. To odwrócenie wartości ta hierarchia opiera się na negatywnym stosunku do działania. Stąd hero-sami jego eposu stają się umarli, warlaci, święci, kobiety, których życie jest tak mało świadome, które wyrzekają się siebie dla innych, dla miłości. Stąd jego czułość dla dzieci, dla wszystkich nieuzbrojonych, którzy mają fałszywe pojęcie o świecie — dobre, piękne, dla których świat jest wielką niespodzianką, tajemniczym przeżyciem, pełnym porywających blasków i cieni. Stąd braćmi są mu wszyscy ludzie w chwilach, kiedy są słabi i przerażeni tajemnicą nicości i samotności, kiedy otacza ich noc, dzieląca jednych od drugich, nieodłączna towarzysząca samotności, kiedy ich ogarnia metafizyczny lęk.

Na szczycie tego rodzaju stworzenia stoją rzeczy — najbierniejsze, które wiedzą mniej, niż najmniejsi z maluczkich, a nad którymi ciąży też tajemnica istnienia, czasu i przemiany materii. Dlatego współczuć, czyli współ-odczuwać może z nimi człowiek. Dlatego dane są one człowiekowi jako ostatni towarzysze jego samotności. Rzeczy, przez swą doskonałą bierność, przez brak własnego życia, przez brak organów i jednolitość struktury materii — aż do głębi przejmują wszelkie drgania wewnętrzne samotnych ludzi, podśluchiwanym w ciszy przez rzecz, jak przez anteny. Te rzeczy bezosobiste, i bezindywidualne, bezegoistyczne magazynują jakby ludzkie uczucia i mogą je wyzwalać — nabierają siły, boskiej mocy przemieniania świata i stosunków ludzkich jak w „Wahnsinn”, gdzie w ciągu jednej nocy uczyniły z żebraczki królową i nauczyły ją gestu, nakazującego ludziom wiarę w tę przemienioną obłądem kobiety rzeczywistość, napewno lepszą i piękniejszą a niemniej absurdalną niż pierwotna, której jest kompensacją. Jedyną w świecie Rilkego kompensacją. Rzeczy to bowiem są najlepszymi, najidealniej odtwarzającymi, i pozwalającymi czuć harmonię świata towarzyszącymi. Jak w „Konfirmanden” gdzie one to tworzą nastrój kościoła, one — białe suknie dzieci oddają najpierw ich sztywny strach oczekiwania a później zakwitają kolorowymi kwiatami i kryją w swych fałdach świergot ptasł w tej godzinie nadziei pięknego życia. Sprostac świeżości i niedoświadczeniu dzieci mogą tylko rzeczy, które w frontach domów uskrzydlo-nych przedwieczną godziną i w blaskach szyb unoszą cały ich zapal i nadzieję.

Tak odbywa się owo magazynowanie, powstaje wiedza rzeczy, które milczą ze wstydu wśród targowiska ludzkiego a w świecie samotnika stają się prawie zwierzętami. Zadaniem poety jest przenikanie ich tajemnicy, wypowiedzenie ich milczenia. Stopień zbliżenia z rzeczami prawie miarą jego wartości, stopnia zaostrenia intuicji, doskonałości poetyckiej metody poznawczej. Irracjonalne bowiem, właściwe poezji traktowanie świata łączy się u Rilkego z irracjonalnością samego świata. Bohaterzy poezji Rilkego nigdy nie kierują się rozsądkiem. Jakż wyrok na inteligencję, ową zdolność przystosowania się do nowych warunków, t. zn. zdolność do walki o byt, wydaje Rilke w wierszu „Aschantl”, przeciwstawiając mizdrzące się do

białych plemię murzyńskie dzikim zwierzętom, które męczą się i umierają bez kompromisów, wierne swej wielkiej krwi.

Siła i zdolność odczuwania, pojemność cierpienia, to są kwalifikacje postaci Rilkego. Są wśród nich szaleńcy, posłuszni nie wymaganiom życia i okoliczności, lecz głosowi krwi, która ich oślepiła i pędzi ku czynom niszczycielskim, przynoszącym zagładę im samym. Krew, energia zamknięta w żyłach i tętnicach, motor i źródło życia, stare jak życie dziedzictwo wszystkich pokoleń sprawlają, że człowiek — jednostka nie ma własnej woli, lecz poddany jest ślepej sile, wyładowującej się w niekontrolowanych rozumem czynach. Rodzi się obarczony stygmatem historii. Rilke błądzi po obszarach historii i legendy w poszukiwaniu takich tragicznych postaci, ofiar dziejów, ofiar stygmatów krwi. Lepiej one służą ilustracji zagadnienia, niż społeczeństwo współczesne, dzięki — rzeczom - symbolom, zawierającym ciężar krwi całych pokoleń i epok. Słowom: rycerz, hełm, korona, miecz potrafi Rilke nadać całą wagę ich symbolicznego znaczenia, tak jak w tych, którzy je dźwigają, umie tchnąć życie, wyrazić cierpienie krótkiego, jednostkowego trwania, najbardziej indywidualnej ze spraw tego świata wobec otchłani przeszłości, historii i śmierci, w którą życie nieustannie i nieuchronnie się zmienia. Przewaga ilościowa i jakościowa śmierci nad życiem towarzyszy poezji Rilkego. Wprawdzie trupy w mordzie czynią wrażenie dwuznaczne i nie wzbudzają w nas pewności ukończenia życia, ale śmierć wieczna, ukryta w piersi ludzkiej, towarzyszy stale życiu i czyha na wyzwolenie. Czujemy się we środku życia, a śmierć nagle zaczyna w nas płakać, czujemy się we środku życia, a wystarczy zgon bliskiego, aby śmierć wylazła przez szpary jak świeża trawa i stała się jedyną rzeczywistością, a życie teatrem, grą, za którą na chwilę tylko przestajemy żądać oklasków. Memento mori, nie w sensie morału, lecz stwierdzenia obiektywnego, że życie jednostki służy tylko nadaniu indywidualności śmierci. Gdyż ona to dopiero życie określa, waży, jest miarą jego wartości. Jakże życie taka śmierć. („Absalomsabfall“, „Tod Mozes“). Narzekania indywidualistów na standaryzację życia współczesnego, przybierają u Rilkego formę narzekania na śmierć standaryzowaną, fabryczną, szpitalną. („Malte“) Przypomina nam to jedną z pereł mistycyzmu XVII wieku Anioła Ślązaka o człowieku, który tem będzie po śmierci, co ukochał za życia, jeżeli ziemię, to ziemią, jeżeli...

Reasumując, śmierć, przeszłość, historia tkwią w życiu w dwojakiej postaci: skamieniałej, martwych przedmiotów, którą życie wciąż świeżo obrasta i w postaci żywej — w naszej krwi. Czyny możliwego ongiś, zdobywczego rodzaju na siedmiu rozwalonych dźwignach w gruzy zamkach, skupiły się w duszy „Ostatniego“ („Der Letzte“) i sprawiły, że każde jego dzieło stoi jak na morskiej fali. Matka La Stanza i ojciec gwałtownik są sprawcami rozterki duchowej mnicha w Certosa i jego czerwonych marzeń. Nie ma wolnego życia i wolnego działania, stygmat dziejów, pokryte tajemnicą i milczeniem dziedzictwo krwi, wiąże nasze losy.

Krew to, zamknięty obieg krwi człowieka, sprawia, że on w swoim życiu uczuciowym, w radości i cierpieniu jest zupełnie samotny. Poznaje świat przez wsłuchiwanie się w głos własnej krwi. Sprawiedliwie możnaby nazwać Rilkego poetą samotności nie tylko dlatego, że poświęca jej wiele

wierszy, że bada jej wszelkie odcentowanie, ale dlatego, że ona jest przyczyną i warunkiem jego twórczości. Poezja Rilkego jest próbą przełamania osamotnienia, narzucenia innym swojej wizji świata.

Samotność urasta u Rilkego do potęgi samotnego bytu, siły przyrody, jak krążenie i przemiana materii. Zbudowany przez poetę w czasie i przestrzeni ruch samotności, która ulatnia się z snem wieczornym i unosi nad miastami, aby o godzinie, kiedy noc w dzień się zamienia, kiedy się budzą do próżnego działania obcy sobie duchem, rozczarowani obcowaniem ciała, opaść na kamienne ulice miasta i spłynąć rzekami do nagromadzonych oceanicznych jej zbiorników, podnosi samotność do znaczenia jeszcze jednego wymiaru, do znaczenia kategorii bytu.

Samotność jest warunkiem twórczości, gdyż umożliwia kontemplację świata, wsłuchiwanie się i wypowiedzianie milczenia rzeczy, zwierząt, nieba i ziemi. W „Abend” dusza ludzka dzieli się razem z wieczornym krajobrazem na część jasną, wstępującą ku górze jak gwiazda i ciemną, ciągnącą ku ziemi, jak kamień. W „Bangnis” ogołocony las i puste niebo, szary krajobraz z kilkoma hieroglifami jesieni, wywołuje śmiertelny strach i poczucie konieczności natychmiastowej śmierci wszystkich, co żyje. „Abend in Skäne” na skutek bogactwa efektów świetlnych i plastyki pochmurnego nieba z jasną bramą, otwierającą dale, dostępne tylko ptakom, nabiera napięcia kierunkowego, dającego poczucie wyzwolenia. To jest samotność romantyczna, bolesna i piękna samotność wobec tajemnicy, pozbawiona jednak patosu i romantycznego gestu. Wszystkie te krajobrazy Rilkego, mimo nielicznych szczegółów plastycznych, są pełne, trójwymiarowe, zamknięte w doskonałości konstrukcyjnej swej architektury, a mimo to żyją i oddychają. Dzięje się to dlatego, że człowiek wypełnia je swoją treścią psychiczną, wchłania w siebie, stwarza. Wystarczy wyjść wieczorem na zużyty próg domu, ażeby zmęczonymi oczami stworzyć świat, jak podnieść smukłe drzewo... Obcując z naturą, Rilke nie wychodzi z siebie, jest dalej samotny. Lecz nie tą samotnością gorzką i tragiczną, którą odczuwa wobec ludzi. Nigdy nie zdoła pokonać obcości, nawet wobec ukochanych, promieniowanie jego nie przechodzi bez przeszkód, lecz odbija się od innej siły, od woli, nie napotyka, jak w świecie rzeczy, biernego poddania. Dlatego stara się sam otworzyć całkowicie na przyjęcie cudzej duszy, skupić wszystkich czujących w sobie, jak w „Ernste Stunde”, gdzie niczem jest dla niego pokonanie czasu i przestrzeni w porównaniu z pokonaniem samotności człowieka, którą tu odległość tylko symbolizuje. Uświadamianie sobie samotności ludzkiej i wypowiedzianie jej uważa poeta za swoją misję życiową, za jej duchowe przeciwdziałanie.

Samotność wyrzutek społeczeństwa, ślepych, idiotów, trędowatych, nędzarzy jest prawie organiczna; nie mogą się oni porozumieć z powodu odrębnego widzenia świata. Poza współczuciem to właśnie najwięcej w nich Rilkego pociąga. Pouczająca tu jest karykatura świata, powstała wskutek wyeliminowania jakiegoś zmysłu lub specjalnych warunków bytu. W „Stimmen” każe im mówić samym ich mowa jest uboga i realistyczna, jak reportaż, skondensowany maksymalnie, w kilkunastu wierszach, reportaż na podstawie doświadczeń całego życia. Szereg różnorodnych krzywych zwierciadeł, w których odbija się świat. Rilke przesuwa je, oświetla z róż-

nych stron, aby znaleźć to, co jest im wspólne, co je łączy; to właśnie stanowić będzie istotę Ich światła. Łatwo ją wyłuskać. Są to różne formy samotności i cierpienia. Zwierciadła są obiektywne. Uliczni śpiewacy Rilkego traktują swój stan z przerażającą bezstronnością, jako stan naturalny, jakby nie przypuszczali istnienia i możliwości innego światła, bez najmniejszej perspektywy na drogę wejścia i wyjścia zeń. Jest hermetyczny.

Wymowa Ich jest tem silniejsza. Trudno lepiej uświadomić sobie istotę domu i dachu nad głową, niż kiedy spojrzymy na chwilę przez oczy bezdomnego, który jest bardzo zadowolony, bo może przecież położyć głowę na dłoni. W radosnej „Pieśni Idioty” człowiek pokonuje lęk straszliwy przed istnieniem, światem, działaniem, z ciągłego napięcia myśli wyzwolił go puszczenie jej wolno, swobodzie, bez odpowiedzialności: obłęd dał mu wyzwolenie. Samobójca nawet obiektywnie chwali świat, zaznaczając tylko swój indywidualizm, swoje „votum separatum”, odsłaniające jego tragiczną samotność wśród głodnych życia i zadowolonych. W jednej tylko „Pieśni pijaka” mamy do czynienia z buntem i ordynarnym gniewem, ale nie obawiamy się, że doprowadzi on do rozbicia hermetyczności światła. Krążenie na uwięzi występuje tu silniej, niż gdziekolwiek, a bunt skierowany jest przeciwko — winu i jego spółce ze śmiercią. W pieśniach wdowy i sieroty nędza obnaża tak często wzruszający Rilkego tragizm kobiet, do których los uśmiecha się w młodości, stwarza nadzieję, która okazuje się zasadzką, gdyż dalsze życie sprowadza je do roli sprzętów użytkowych, nie mających żadnej własności, bo to, co było Ich bogactwem, los zabiera stopniowo. Pozostaje im nie bunt, lecz tylko zdziwienie.

Ślepy — to jeden z tematów nieustannie przez Rilkego poruszanych. Pasjonuje go przemieniony niewidzeniem ślepego światła. To wnika w jego wnętrze, to obserwuje go z zewnątrz, gdy przecina, niby ciemna smuga słoneczne ulice miasta, podlegający zupełnie innym prawom, niż reszta ludzi w swym uroczystym, zakrzepłym geście, gdy stoi nieruchomo na moście wśród wrzaskliwych podrygów zbiorowiska ludzkiego, jak kamień do rzeczy zbliżony, skupiony w sobie, patrzący do wewnątrz, spojrzeniem, które odkrywa dalej i zagląda w twarz krańcom, jak księżyc martwym i bezludnym. Idealizacja ślepych kończy się u Rilkego w „Stimmen”; tu wszystko obraca się na złe: szarość, bezbarwność światła, wrogość otoczenia a przede wszystkim samotność, wynika z braku.

Do podtrzymania tych wszystkich cierpiących służy Bóg, który jest Ich produktem, stworzonym wedle potrzeb ułomności ludzkiej:

Denn nur noch so entsteht (das wissen wir)
Aus Blinden, Fortgeworfenen und Tollen
der Heiland...

(Der Portal)

Zbawiciel zamienia się w Boga-Ojca, który w tym samym wierszu objawia się pod postacią ciemności, występującej z głębi mrocznej nawy, pomiędzy figury świętych w portalu. Ludzie kształtują Boga bezustannie. Podłość ludzka, pozbawiająca wolności, potrafi go uczynić dozorcą więziennym. Ograniczenie, wysuszenie, martwość duszy, może go zamknąć w cy-

ferblacie zegara i zaprząć do pilnowania przepisów. Ale Bóg może się zbuntować i uciec i stać się znowu wolnością i — wszelką możliwością. Żadna rola nie jest według Rilkego dla Boga zbyt mała; obdarza go wszystkimi słabościami i namiętnościami ludzkimi. Nigdy Bóg Rilkego nie występuje w takiej glorii, jak heroldowie boży, Aniołowie. Im przypadła w udziale najlepsza część, padł na ich skrzydła blask siódmego dnia stworzenia, dostał im się przydział piękna. Aniołowie zbierają różowość z wędnących płatków hortensji. Ratuja piękno świata przed zagładą przemijania. Piękno także pod postaciami dobra, mocy i sprawiedliwości. Piękno pod najwyższą postacią milczenia i ciszy — „Intervalle in Seiner Macht u. Melodie“ — które jedynie w ziemskim świecie otwierają perspektywy dodatniej nieskończoności. Jednak piękno nie wystarcza Rilkemu do uzasadnienia istnienia świata. Jego świat jest jednością. Piękno nie daje się oddzielić od brzydoty i cierpienia, z nich się rodzi, nie ma autonomii królestwa anielskiego, wszystko jest w człowieku, i Rilke mówi:

„...Kochanek, na mnie opiera się drżąca
Piękność stworzenia i milcząc łyżeje“.

EWA STEINHARDT.

RAINER MARIA RILKE

PRZEKŁADY MIECZYŚŁAWA JASTRUNA

*

Nigdy nie przejrzy nawet kochający
Waszej, o byty bezkresne, zasłony
Bo ktoś potrafi czytać w jaśniejącej
Twarzy, przed którą pierzcha wzrok olśniony

Poeta ufa, że w jakiejś postaci
Sprawdził was wreszcie drżącym porównaniem,
Z kręgu w krąg wznosi się za waszym trwaniem
I trwożnie trop wasz na nieblosach traci.

I w końcu jest wam najbliższy tęsknotą,
Gdy niespodzianie, jak w słodkiej żałobie,
Nie może rozstać się z aleją sadu :

Jaszczurka spełzła śpiesznie, gdy on oto
Kładzie na ciepłym murze winogrodu
Prawie odświeżnie puste ręce obie

W I E C Z Ó R

ABEND IN SKÄNE

Park jest wysoki. I jak z bramy domu
Wychodzę z jego ciemnego ogromu
W zmierzch i równinę. W równinę i wiatr,
W ten sam wiatr, który czują także chmury,
Wód jasnych rzeki, wiatraków kontury,
Co wolno mieląc, śnią na widnokręgu.
Jam teraz także rzeczą w jego ręku,
Najmniejszą pod tym nieboskłonem. — Patrz :

Czy to jest niebo ? :
Błogi blask błękitu,
Gdzie się obłoki coraz czystsze tłoczą,
Wdole w odcieleniach białość, widna oczom
I cienka szarość szeroka u szczytu,
Ponad czerwienią ciepło falująca,
I ponad wszystkim ta cicha promienność
Zachodzącego słońca.

Budowa cudna,
Co w sobie toczy się, wsparta o siebie,
Figury tworząc, skrzydła, fałdów fale,
Góry u progu pierwszych gwiazd na niebie,
I nagle, tutaj: brama w takie dale,
O których może tylko ptaki wiedzą.

*

Do współuczucia z każdej rzeczy wzywa,
Z każdego ruchu daje znak : Pamiętaj !
Dzień wczoraj obcy nam, noc obojętna
Jutro nas sobą obdarza, szczęśliwa.

Kto liczy plony nasze ? Kto nas dzieli
Od lat, skazanych na wieczne rozstaje ?
Od wieków czegośmy się dowiedzieli
Nad to, że jedno w drugim się poznaje ?

Że obojętne sobą ogrzewamy ?
O domie, skłonie łąk, wleczorny stawie,
Nagle objawiasz to przy nas, w nas prawie,
Obejmujący i obejmowany.

Przez wszystkie twory jedno wleje niebo :
Wnętrze istnienia. Ptaki cichym wlewem
Lecą skroś nas. O, który rósć chcę, z siebie
Wyglądam, z dna, i we mnie rośnie drzewo.

Ja trudzę się, i we mnie dom się dzieje.
Ja strzegę się i we mnie moc strzegąca.
Kochanek, na mnie opiera się drżąca
Piękność stworzenia i milcząc tży leje.

PORWANIE

Wymykała się często służącym,
Dzieckiem będąc, by noc, by wiatr,
(Ze tak inny jest wewnątrz ich świat)
Ujrzeć z zewnątrz w ich źródle szumiącym.

Ale żadna noc nie rozszarpała
Na takie cienie olbrzymiego parku,
Jak sumienie jej dzisiaj w tę noc,

Gdy z drabiny jedwabnej w głąb alej
Zniósł ją i dalej niósł, dalej.
Aż wszystko zakrył wóz.

Chłonąc czarną powozu woń
Wokół którego skrycie pogoń stała
I oddech gróz,
Poczuła nagle : wyściela go mróz,
I czerń i chłód były także w zadrzeniu jej ciała;
I wtuliła w kołnierz płaszczem skroń
I do włosów wzniosła ręce obie,
Jakby tu był... I obco w jej uchu
Zabrzmiał głos nieznamy i głuchy :
Jestemprzytoble.

*

Nie wierz, że było tak zawsze. Te ręce
Twórcy, co pierwszych ludzi kształtowały
W gęstej tworzenia trudziły się męce,
By kształt się oparł fall rozszalałej,

W którą porywa życia przemoc głucha.
Ale we wnętrzu tych ziemnych zarodów
Ukrył tworzący przeciw-dal swych głodów, —
Napadniętego gwałtem formy ducha.

Teraz on pancerz rozpychając rudy,
Płonął w nadziei, że rozsadzić zdoła
Ciasnotę więzów. Uważ w łuku czoła,
W płomiennym drzeniu łądźwi jego trudy.

Moc była mocą. Ale z każdym członem
Spółt, wpędzając weń, igrzy płomiem,
W mózg z takim żarem, że usta spalone
Prawie rozpadły się pod jego tchnieniem.

Kochanków skuło ślepe zapatwienie,
Że jak kowale zdrętwieli przy gwiazdach
I wybuchnęli: jesteśmy płomień!
I byli żarem i męż i niewiasta.

Prawlcher wionął w te ciała z płomieni,
To był żar — ciekły. Ślepy ludzi — pożar.
To tysiąclecia bitew, pierwomorza,
Ognia — otchłanie, ale nigdzie ziemi.

Kto złamał wściekłość wybuchłego ducha,
Co był w ciasnocie cielesnej wzięiony?
Bóg zimny, mówi wieść, wysoki Bóg
Skiął najmłodszej niewleście zjawiony,

I wyspa zimna legła Im u nóg.

BAUDELAIRE

Poeta, jeden, w sobie scalił, zdźwignął
Swiat, co sję w każdym na drobne rozmienia.
Na piękno rzucił blask nieznanej tęczy,
Lecz że sam jeszcze słał, co go dręczy,
Gruzy oczyścił, ruinę uwleńczył:
I światem nawet jest żywioł zniszczenia.

*

Wciąż na nowo, choć znany krajobraz młodości
I mały cmentarz z jego skarżącymi się łmionami
I straszliwie zamilczającą przepaść, w której llni
Gina: na nowo wciąż idziemy we dwoje
Pomiędzy stare drzewa, kładziemy się wciąż na nowo
Wśród kwiatów, z twarzami w niebiosa.

*

Czar nam zagotuj, w którym tają granice,
Duchu wleczyście wpatrzony w żar!
Tę nadewszystko zła tajemnicę,
Co nawet bezruch okrąża, niech złamie twój czar.

Rozwiąż kilkoma kroplami więżącą obręcz owej
Granicy czasów, zwodniczy znak;
Bo jak głęboko tkwi jeszcze w nas dzień marmurowy
Aten, egipski bóg albo ptak.

Nie spocznij, póki nie pryśnie krawędź ludzaca plemiona,
Bezmyślnym zacieśniające się gniewem,
Otwórz dzieciństwo i płodnych matek łona,

By one, co zawstydzają próżnię, rodzicielki,
Niezmyłone żadnych barier drzewem
Zrodziły rzeki przyszłości, mórz pomnożycielki.

*

Przy tej drodze osłonecznionej,
W wydrążonym pół-pniu, który zdawna
Stał się żłobem, powierzchnię wody
Cicho w sobie odnawiającym,
Tu ugaszę pragnienie, pogodę
I rodowód wody biorąc w dłonie.
Pić, to byłoby za wiele, za jawnie;
Lecz tu gest mój oczekujący
Jasną wodę poda świadomości.

Włęcz, starczyłoby mi, gdybyś przyszła,
By me dłonie spragnione spoczęły
Niechby na twych ramion młodej pełni,
Niechby na naporze piersi twoich.

BUNT ABSALONA

Podnieśli je z błyskanem :
Wzdął rogów gniewny szum
Rozłopotaną chmurę
Chorałwi. Wtedy on
W purpurze swej i złocie
W szeroko otwartym namlocie,
Który ze wszystkich stron
Obiegł radosny tłum,
Wziął dziko w posiadanie
Dziesięć nałożnic, (które

Przywykłe do skąpych nocy
Starego księcia) na zew
Jego drapieżnej mocy
Drżały jak letni slew.

Potem pomiędzy wodze,
Jakgdyby nigdy nic,
Na radę szedł, i w drodze
Oślepił blaskiem lic.

Jak gwiazda przodująca
Rokowi, niósł swój szczyt
Przed wojskiem wielogłosym
I jego ciepłe włosy
Wiały nad lasem dzid.

Tak niósł je jak zlewagę,
Że ich nie objął hełm,
Bo cięższą miały wagę
Od szat bogatych wełn.

Król chciał oszczędzić Młodego,
Lecz on, bez hełmu, stał
Gdzie groty gęsto grzęzły.
Miecz jego, we krwi cały,
Rozcinał na kawały
Czerwonych trupów węzły
Splątanych strasznie ciał.

Wnet z oczu go stracono,
Aż krzyknie jeden w gniewie :
Na terebintu drzewie
Patrz ! wisi z podniesioną
Do góry groźnie brwią.

I tego było dosyć,
By Joab, jak myśliwy,
Wytropił jego włosy :
Tam na gałęzi krzywej.
I grot przepędził drzewa
Przez jego jęk straszliwy,
A dziurzyńcy glermkowie
Przeszylili go zprawa i zlewa.

RECENZJE

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI. WOLNOŚĆ TRAGICZNA. Lwów Warszawa Książnica Atlas. Str. 60 i 4 nl.

„Wolność tragiczna” jest nie tylko poematem o Marszałku Józefie Piłsudskim, ale także poetyckim przekrojem powojennej współczesności polskiej. „Noc narodowa”, „Rozmowa z Baryką”, „Ojczyzna chochołów”, „Belweder”, „Samotność” to utwory, w których przede wszystkim wykazane zostały w sposób poezji właściwy antynomie współczesności: posągowy Tytan, Prometeusz wolności wymuszonej batem lub krzykiem, a z drugiej strony jaskrawo podkreślona karykaturalna masa, społeczeństwo chochołów, „pustką zarazona Polska jeszcze jedna”, pełna jesionowej przeszłości szlacheckiej, „naród — bez chłopów”, zażywający wolność jak tabakę, zjadający dni swej wolności. „Za dużo znam ciemności, za dużo — narodu”. Walka Tytana z karykaturą polskości, widmami przeszłości, z pawlooczność-

cią, w której mieści się „cała pańskość plugawa, lamus hańby naszej“, to okres tragicznej wolności. I najtragiczniejsze określenie tej wolności:

Zdawało się, że wolność to już będzie dosyć.

A to jest tylko tyle, ilu ich poległo.

Poetycki przekrój zakończony akordem (zostanie po mnie ta siła fatalna...), alternatywą wyroku pośmiertnego: „Skazuję was na wielkość. Bez niej zewsząd zguba“

Można stwierdzić i wykazać, że obecna faza twórczości Kazimierza Wierzyńskiego łączy się z pierwszym okresem jego poezji, można udowodnić i przykładami udokumentować, że dzisiejsza barwa stosunku poety do zagadnień nie jest tylko antytezą okresu „włosny i wina“. Dawny śpiew na cześć ziemi, panteizmu, człowieka i życia, tęsknoty „kosmiczne“, braterski stosunek do ludzi, życie oparte na filozofii prostoty i pokory, pewna refleksyjność, właściwa poetom typu „metafizycznego“, — to jednak ziarna, z których rozwinęła się pieśń o wolności tragicznej. Mimo „Rozmowy z puszcza“ i „Pieśni fanatycznych“, sugestia młodzieńczych utworów Wierzyńskiego ciąży nad każdym, kto weźmie do ręki „Wolność tragiczną“. Mimo woli szukamy ciągle dawnego plewcy włosny i wina. Trud przyswojenia sobie Wierzyńskiego w nowej postaci, wobec tej niezwykle mocnej sugestii nie jest łatwy. Sceptycyści początkowo aż nadto, notujemy różne drobiazgi pod wrażeniem początkowym „obniżania się lotu“. Na podstawie szczegółów prawie jesteśmy gotowi stwierdzać to z całą pewnością, lecz w miarę poznawania sąd nasz dziwnie się odwraca. Zrazu zdaje się, że mamy śpiewy historyczne (taka pełna niespodzianek ksząłka), potem poemat o współczesności, wreszcie chwytny związek z wieszczą poezją romantyczną. I naraz drobiazgi przestają nas niepokoić. Właściwie nie tak trudno to znowu poznać. Ale my odzwyczajiliśmy się od podejrzewania nawet poezji współczesnej o pierwiastki wieszce, strywializowane przez prasę i gadulstwo polityków. A takie pozostaje ostateczne wrażenie: autorem „Wolności tragicznej“ jest poeta - vates. I ostateczne życzenie: oby to dzieło przyniosło odrodzenie zapomnianej już prawie a przecież najcharakterystyczniejszej dla naszej literatury poezji wieszce.

FRANCISZEK SURÓWKA. PANTA RHEI. Skład główny Gebethner i Wolff Warszawa 1935. Str. 120 i 6 nl.

Tom ten w całości pozostaje pod znacznym wpływem Młodej Polski. Jakże silna jest sugestia tego okresu. Jedni poddają się jej raczej ze względu na bogactwo światłocieni, i to przypomina potężny swego czasu i w znacznym stopniu niszczący pochód baroku. Podobną siłą niszczącą posiada również piękno Młodej Polski, powabne w oryginale, nieznośne w naśladownictwach. Surówka poddaje się innym, mniej rozpowszechnionym sugestiom młodopolszczyzny. U niego Kasprowicz, u niego dies irae, nie plęknoduchowstwo ale walka duszy. Toteż o tyle stopni omawiany poeta jest sympatyczniejszy od innych epigonów, ale też większe grozi mu niebezpieczeństwo — apostołstwa z łaski cudzych natchnień. Zresztą początki twórczości zazwyczaj są okresem wpływów. Surówka posiada niemało cech samorodnego poety, co zaznacza się głównie w wierszach bliższych ziemi.

Tam gdzie poeta zbliża się do najprostszych spraw, do stajen pszennych, do grobu matki, do starego ojca i biednej siostry, wzrusza prawdą wyznania. W utworach o treści zaczerpniętej z dzieciństwa, z życia ziemi, jest prawdziwym poetą, w „hymnach“, niestety, tylko echem. Tymi uwagami nie chciałbym odsuwać Surówki od Kasprowicza, raczej wskazać na drogę rozwojową mistrza: od wierszy „z chałupy“ ku wyżynom hymnów. Najwłaściwsza to droga dla wszystkich spokrewnionych z Kasprowiczem.

WŁADYSŁAW PODSTAWKA. STOPY W NIEWOLI. Wiersze. Lublin 1936, nakładem autora. Str. 56 i 8 nl.

Podstawka należy do tych, którzy poezję noszą w sercu. Nie szum głowy, nie półsenne melodie, lecz twardym życiem wypracowane uczucie, przekute mocną ręką talentu na wiersz śmiały, w niejednym wypadku prawie skończony. Zakradły się, jak zwykle do pierwszej książki, rzeczy półwartościowe, jak wiersze cyklu pierwszego, ale to wszystko prawdziwemu poecie czytelnik wybacza, stwierdziwszy dobrą postawę poetycką, odporność na sugestie i wzbogacającą świeżość nowego człowieka. Autor posiada więcej predyspozycję do epiki niż liryki. Najlepszy zapewne utwór w omawianym tomie, „Konieczyna“, jest dobrym wyrazem tych skłonności i uzdolnień.

WACŁAW MROZOWSKI. DOBRANOC.. DOBRANOC. Warszawa 1936. Nakładem księgarni F. Hoelska. Str. 59 i 5 nl.

Najcharakterystyczniejszą cechą wierszy Mrozowskiego jest sentymentalizm, uwidoczony dobrze również w tytule książki. Jak każdy sentymentalizm — rozlewny i nieco cikliwy, przytym wielosłowny. Dobrą jego stroną jest podkład autentyczny, przyciągająca szczerłość, ujmująca barwa. Wspomnienia z lat dziecięcych, liryzm matryla i patriarchalny, obcość wielkiego miasta — motywy te składają się głównie na autentyzm Mrozowskiego. Bo Mrozowski, prawdopodobnie nawet nie programowo, lecz raczej intuicyjnie, jest autentystą. Lecz jego autentyzm posiada ważną usterkę: wizję poetycką otacza licznymi szczegółami kronikarskimi. Wśród nich wikła się lub rozplata całkowicie koncepcja artystyczna, z wiersza powstaje felieton liryczny. Poza tym o utworach Mrozowskiego można mówić tylko dobre słowa. Do najlepszych wyników doszedł poeta w utworach o temacie muzycznej, nprz. w wierszu „Narew“ lub w „Scenie z chłopcami“. To widocznie kierunek najbardziej odpowiadający Mrozowskiemu.

ZDZISŁAW POPOWSKI. PIEŚNI UROCZYSTE. Biblioteka Kamieny nr. 7 1936 Str. 53 i 3 nl.

Powiedział Paul Valery, że niegodne jest pisanie jedynie w ulesieniu pod wpływem sztucznego raczej niż istotnego natchnienia, powiedzmy, pod wpływem chwili. Potrzeba długich wahań „między dźwiękiem a znaczeniem słowa“. Autor „Pieśni uroczystych“ takich wahań nie uznaje. Wiersz jego jest wybuchem, płynnie ujęty wprowadzie w śliskie koryto zwrotki, ale płynie szeroko i rozlewnie. Płynie młodopolszczyzną zwykłego gatunku i skamandryzmem — tym najbardziej młodopolskim. Nie mija drogi mlecznej, świętego bólu, wonnych snów, zakłętej duszy, śpiewnej ciszy, lilowego snu i lilowego sadu. Wielka łatwość układania słów w dźwięczne wiazanki prowadzi autora na manowce.

MICHAŁ ŚWIRSKI. DROGI W NIEZNANE. Warszawa Hoesick 1936
Str. 75 i 5 nl.

Dla odmiany, nie młodzieńcze, najpospolitsze impresje, lecz tom wierszy dojrzałego, zapewne już łysiejącego pana. Jakoż — wszystko tu inne. Dobrze rzemiosło, bo w wierszach tych mało, bardzo mało poezji. Jest też krytycyzm w stosunku do szablonów poetyckich. Taki pan, który zjeździł prawie pół świata, nie da się złapać na bujdy zwyrodniałej młodopolszczyzny. Ale wiersze jego o tematach sztucznie wykombinowanych są mało znośne. Bez porównania miłsze i ciekawsze są wierszowane, bezprezjensjonalne notaty z podróży. Autor jest sympatycznym gawędziarzem, szkoda tylko, że swych spostrzeżeń nie opracował zwykłą prozą. Zdobyłby na pewno wielu czytelników. Kilka końcowych fraszek stanowi najlepszą część książki. Jedną z nich, „Projekt okólnika“ przytaczamy:

Tam gdzie nie ma porządku zwykle źle się dzieje,
Więc trzeba rozgraniczyć różne kompetencje: —
Niech dygnitarz nie schodzi pomiędzy złodzieje,
A złodziej niech się nie pcha między ekscelencje.

JACEK MARIA ORLIK. NAD POLESIEM CISZA. Poezje. Janowa Dolina 1936. Str. 32 i 2 nl.

Są to próby wierszy nie odbiegające od t. zw. twórczości poetów wiejskich z przed okresu Czuchnowskiego. Sielankowe szablony, coś z Kopnickiej, coś z Lenartowicza, trochę sentymentalizmu i smętku. Wiersz pojmowany mechanicznie, jako suma rymów, nerw poetycki nie pracuje. Skromna, uboga książeczka wzbudza smętne myśli o Polesiu.

LOLA SZERESZEWSKA. NIEDOKOŃCZONY DOM. Warszawa 1936. Księgarnia F. Hoesicka. Str. 40.

Bardzo jeszcze niewyraźna zapowiedź poezji. Niemało naiwnostek, nieraz nawet sympatycznych, raz cień Tuwima, to znów Jasnorzewskiej. Dążność do prostoty, dbałość o czystość zdania. Nie ma szarlatanerii w postaci zalewu młodopolszczyzny, a to już świadczy o smaku i krytycyzmie autorki. Ale „Niedokończony dom“ jest właściwie dopiero przedczesnym projektem przyszłej budowli.

MAURYCY SCHLANGER. IDEJ... Kraków 1936. Skład główny Dom Książki Polskiej. Str. 70 2 gnl.

Z książki tej miałyby nie małą pociechę niejedna „Camera obscura“, tyle jest w niej rzeczy karykaturalnie śmiesznych. Nie wszystko. Z poza zastony śmieszności wydostaje się głos cierpiącego i wrażliwego człowieka ale bardzo niewyrobionego poety. Od czasu do czasu zjawia się nawet udatniejszy wierszyk, jak „Ballada o szwedzkiej dziewcy“, ale wyjątki nie ratują tej strasznej książki.

STANISŁAW CZERNIK

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

W poprzednim zeszytcie „Okollicy Poetów” ukazał się list Juliana Przybosia dotyczący pewnego ustępu mego artykułu „Krytyka od podstaw”. Z listu tego wynika, że Przyboś czuje się dotknięty za posądzenie o „wpływ” w zakresie jego liryki, zwłaszcza o wpływ tak słabo udokumentowany przeze mnie, bo — twierdzę — tak subtelny i odległy, że wykryć go można tylko przez domysł, co tylko świadczy dobrze o wysokim kunście poetyckim obrażonego na mnie Przybosia.

Ale ponieważ ten domysł jest tylko mój, a z drugiej strony nie chcę być niełojalny, stwierdzam, ażeby dać satysfakcję Przyboslowi, że wśród mnóstwa „domyślnych” wpływów poetyckich na mnie, znajduje się i Jego. Czyż to taka hańba wpływ, zwłaszcza twórczo przelstoczony i akurat zbieżny z tą samą struną instrumentu psychicznego, co i u autora, który na nas wpływa?

Jako pistoletu, który ma ostatecznie zabić moje twierdzenie o wpływie mego wiersza na wiersz Przybosia, tenże używa argumentu, że wiersz mojego wogóle nie zna. Ja zaś znam niewielu poetów, ale zato kilku od deski do deski, a wśród nich właśnie Przybosia. A mianowicie znam z greckich całą Safo (w oryginale), z rzymskich całego Propercjusza (w oryginale), z włoskich całego Boccaccia (w oryginale), z angielskich całego Osberta Sitwella (w oryginale), z francuskich całego Jana Brzękowskiego i Marię Jasnorzewską - Pawlikowską (w oryginale), z rosyjskich całego Timofieja Gregorjewa (w oryginale), z ukraińskich całego Józefa Łobodowskiego (w oryginale), a z polskich współczesną trójkę wieszczów, według własnego uznania, trójkę Julianów, a mianowicie: Wołoszynowskiego (autor „Okularów”) Tuwima i właśnie Przybosia (też w oryginale). I stwierdzam ich wpływ ogromny na mnie, zwłaszcza, że w podstawowym sensie ich poezji nie widzę żadnej różnicy, chyba tylko w temperamencie formalnym i w ilości wydanych tomów. I czy mi kto przyzna nikły wpływ na drobny wiersz Przybosia, czy nie, to twierdzę, że współczesny okres naszej poezji będzie nazwany z racji swych potężnych wpływów wogóle — również i na mnie — „epoką juliańską poezji polskiej”.

Łączę wyrazy poważania z podziękowaniem za ogłoszenie powyższego.

MARIAN PIECHAL

Łódź, 17 października 1936.



KSIĄŻKI NADEŚLANE

- Stefania Romana Sichrawa Bilińska. Arati i Anagami. Opowieść. Skład główny w Domu Książki Polskiej. Str. 200.
- Jan Brzękowski. Zaciśnięte dcokoła ust. Poezje. Ilustracje Max Ernst. Układ graficzny Wł. Strzemiński. Biblioteka „a. r.” tom 7. Warszawa 1936. Str. 40.
- Marian Czuchnowski. Powódź i śmierć. Kraków 1936. Biblioteka „Nowej Wsi” nr. 2. Str. 48.
- Józef Andrzej Frasiak. Łakami w górę. Warszawa — Kraków 1936. Biblioteka „Okolicy Poetów” tom 5. Str. 48
- Wacław Mrozowski. Dobranoc... dobranoc. Warszawa 1936. F. Hoesick. Str. 60.
- Julian Tuwim. Treść gorejąca. Warszawa 1936. J. Mortkowicz. Str. 100.
- Bronisław Krystyn Wierzejski. Forty na piasku. Z 57 ilustracjami w tekście oraz 19 tablicami rotograwiurowymi. Warszawa. Trzaska, Evert i Michalski. Str. 208.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

- J. M. w Rejowcu. Prosimy o nadesłanie większej ilości utworów do przejrzienia.
- S. L. we Lwowie. Prosimy o nowe utwory w większym wyborze. Z jednego, dwu wierszy trudno nabrać wyobrażenia o nieznanym autorze.
- J. H. w Dziśnie. Zatrzymujemy. Czy przekłady autoryzowane? W przeciwnym razie nie moglibyśmy skorzystać.
- E. W. w Białej. Wiersze miłe, nie wnoszą jednak nic nowego.
- M. S. w Grudziądzu. Nie możemy umieścić.
- B. W. w Łodzi. Zatrzymujemy wiersz o ogródku.
- Z. K. we Lwowie. W wierszach Pana nie zauważyłem poezji. Tym bardziej i artykuł, aczkolwiek zgrabnie opracowany, jest stanowczo przedwczesny. Błąd: poezja to nie temperament, ani jego wykładanie.
- J. A. w Warszawie. Nie skorzystamy.
- A. M. w Warszawie. Nie odpowiada nam.
- W. O. w Warszawie. Prosimy o nowe wiersze do przejrzienia.
- F. J. w Krakowie. Prenumerata opłacona do 1 października.
- M. S. w Krakowie. Recenzje umieścimy, z wierszy nie skorzystamy.
- J. K. W. w Warszawie. Zatrzymujemy.
- L. P. w Krakowie. 33^o/₃.

Pojedyncze numery „Okolicy Poetów” nabywać można w Księgarni T-wa Wydawniczo-gó w Warszawie, Mazowiecka 12.

Prosimy o wpłacenie prenumeraty na kwartał czwarty.

czas. 13996/2

Biblioteka Uniwersytetu
MARIII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

13996 2

CZASOPISMA

1936



REDAKTOR i WYDAWCA: STANISŁAW CZERNIK

ADMINISTRACJA: Ostrzeszów, Poprzeczna 2.

Prenumerata roczna 8 zł, półroczna 4 zł.

Kwartalna 2 zł. Numer pojedynczy 75 gr.

Odbito w drukarni „Gazety Ostrzeszowskiej” w Ostrzeszowie

„Okolice Poetów” jest wspólnym dobrem wszystkich poetów i miłośników poezji. Należy prenumerować „Okolicę Poetów”. Bezpłatnie nie będziemy wysyłać nikomu. Nabywać można tylko w Administracji. „Okolice Poetów” nie będzie w sprzedaży kioskowej. Numery pojedyncze wysyłamy po otrzymaniu znaczków za 75 gr. Prenumeratę roczną 8 zł., półroczną 4 zł., kwartalną 2 zł. należy wpłacić zwyczajnym przekazem lub przekazem rozrachunkowym (żółtym). Administracja: Ostrzeszów Wlkp. Poprzeczna 2.